

Ani tryumf, ani zgon – o powstaniu styczniowym raz jeszcze

W przededniu Święta Niepodległości o powstaniach narodowych, a przede wszystkim o najtragiczniejszym zrywie wieku XIX – powstaniu styczniowym, rozmawiam z dr. Markiem Jaegerem – historykiem, pracownikiem Muzeum Ziemiaństwa w Dobrzycy.

Panie doktorze. Od pewnego czasu w rozmowach z pleszewskimi historykami zadaję pytanie o sens naszych zrywów narodowych, ich dalekosiężne skutki i wpływ na nasze dzisiejsze postawy. W rozmowach tych wraca także pytanie: „Czy Polacy czegokolwiek nauczy czyli się z historii ostatnich dwóch wieków?”

Niewiele, myślę, że nie wyciągnęliśmy właściwych wniosków ani z rozbiorów, ani porażki powstania kościuszkowskiego. Polacy nie odrobili lekcji nocy listopadowej, czego najdobitniejszym dowodem jest powstanie styczniowe.

Chciałbym Panu zwrócić uwagę, iż to właśnie sami Polacy, a nie kto inny, doprowadzili do takiego stanu rzeczy, iż państwo w ostatnich latach XVIII w. przestało istnieć, zniknęło z map Europy, przestało liczyć się w rozgrywce międzynarodowej. Jeśli przyjrzymy się insurekcji kościuszkowskiej, to bez trudu możemy powiedzieć, iż było typową polską prowizorką, zupełnie nieprzygotowanym powstaniem, które nie miało szans na jakikolwiek sukces. Sam Kościuszko ani nie był prawdziwym politykiem, ani też dobrym dowódcą. Słynna bitwa pod Raławicami, tak opiewana przez jej uczestników i apologetów, była potyczką wygraną przez Polaków nie ze względu na geniusz naszego dowódcy, lecz ze względu na nieporozumienia między gen. Tormasowem a gen. Denisowem, którzy serdecznie się nie lubili. Przypomnę tylko, iż Tormasow wysłał wezwanie, by korpus Denisowa ruszył z pomocą w obliczu starcia z wojskami powstańczymi, ale żadnej pomocy nie doczekał się. Generał kozacki najpierw ogolił się, potem zjadł śniadanie, obiadek i gdy wreszcie ruszył... było już po walce.

Raławice były niewątpliwie zwycięstwem, ale zwycięstwem w mało istotnej potyczce. Później mamy do czynienia z ciągiem nieudanych działań wynikających z podejmowania nietrafnych decyzji.

Warto też przypomnieć, iż Kościuszko to postać kontrowersyjna, gdyż ma obok czynów odważnych także plamy na życiorysie. Dostał przecież ogromne pieniądze od cara rosyjskiego, które częściowo zwrócił, gdy sprawa ujrzała światło dzienne, gdy zainteresowała się tym opinia publiczna. Oddał część pieniędzy, ale nie całość! Ponadto Kościuszko nie

wziął udziału w epopei napoleońskiej nie dlatego, że nie wierzył cesarzowi Francuzów, przewidział działania cesarza względem Polaków, ale przede wszystkim z powodu przyrzeczenia, jakie złożył carowi, iż nie będzie angażował się w żadne awantury antyrosyjskie.

Może zatem lepiej było w przypadku powstania listopadowego. Może nauczenni przykładem Kościuszki podchorążowie Wysockiego ruszyli do walki lepiej przygotowani?

Ależ skąd! Powstanie listopadowe to kolejna totalna prowizorka, gdyż plan powstańczy w ogóle nie istniał. A jeśli istniał, to sprowadzał się do takiego myślenia – my wywołamy insurekcję, a potem ktoś przejmie władzę i ... jakoś to będzie. I rzeczywiście, władzę przejęli ci, przeciw którym zostało ono wywołane. Generał Chłopicki – pierwszy dyktator powstania, miał jeden cel. Chciał stoczyć jedną „ładną” bitwę, a potem honorowo skapitulować. W bitwie pod Olszynką Grochowską był ranny i tak zakończył się jego epizod powstańczy. Wyjechał leczyć rany do Krakowa, gdzie osiadł na stałe. Do końca życia car płacił mu solidną rentę. Jak widać zatem, inicjatorzy zrywu listopadowego byli do swych zadań totalnie nieprzygotowani, co jednoznacznie określiło dalszy jego przebieg. Potem było tylko gorzej.

Jedynym dobrze przygotowanym powstaniem narodowym z wieku XIX – moim zdaniem – było powstanie styczniowe, ale i ono także musiało upaść, także skazane było na klęskę.

Nim przyjrzymy się powstaniu styczniowemu dokładniej, chciałby zapytać Pana, czy broni się teza o podobieństwach tego zrywu do powstania warszawskiego, które ostatnio tak często analizowane jest przez historyków i publicystów. Przy różnych okazjach można usłyszeć bowiem, iż obydwa wydarzenia – przy wszelkich różnicach, więcej łączy niż dzieli.

Moim zdaniem, nie. Powstanie warszawskie było aktem desperacji grupki ludzi tworzących dowództwo Polskiego Państwa Podziemnego, grupki ludzi, którzy zupełnie oderwali się od rzeczywistości, zatarcili jakikolwiek rozsądek.

Powstanie styczniowe natomiast jest – w moim najgłębszym przekonaniu – zupełnie innym wydarzeniem. Było ono po prostu rzetelnie przygotowane organizacyjnie. Przeglądając dokumenty archiwalne, można utwierdzić się w przekonaniu, iż wówczas tworzyło się prawdziwe państwo podziemne. Działała polska administracja, policja i sądy. Można także zauważyć, że dokonywała się wtedy poważna zmiana w społeczeństwie polskim. O ile poprzednie powstania były ruchami czysto szlacheckimi, zainicjowanymi i przeprowadzonymi przez młodą polską szlachtę, to powstanie styczniowe zrodziło się w umysłach młodzieży także z domów szlacheckich, ale tej, która wywędrowała do miast w poszukiwaniu pracy, rozwoju. Było ruchem stworzonym przez młode środowiska mieszczańskie. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tyle, iż dokonuje się na naszych ziemiach

gruntowna przemiana społeczna. Później pisał o niej tak pięknie Bolesław Prus w swej „Lalce”.

Mamy zatem do czynienia z zacznym czegoś nowego, trwałym trendem, który później – grubo już po powstaniu – doprowadził do utworzenia PPS-u, Polskiej Organizacji Wojskowej, do pojawienia się Piłsudskiego i jego Legionów.

Zadałem Panu poprzednie pytanie, ponieważ często można się spotkać z twierdzeniem, iż obydwa analizowane w tym miejscu powstania wybuchły, gdyż nie było innego wyjścia. Mamy tu do czynienia z dziwnym determinizmem. Co Pan na to?

Wcale nie jest prawdą, iż te powstania musiały wybuchnąć. Nie musiały wybuchnąć! Istnieją zawsze różne alternatywy, różne drogi działania. Walka jest tylko jedną z możliwości dochodzenia do określonego celu. Innym sposobem – najczęściej skutecznym – jest wykorzystywanie nadarzających się okoliczności politycznych do osiągnięcia własnych celów.

W połowie XIX w. po wojnie krymskiej Rosja przechodziła okres reformowania, próby wprowadzania zmian. Pojawiać się zaczęły wtedy pewne rysy na – jak się dotychczas wydawało – niewzruszonych sojuszach między Rosją, Austro-Węgrami i Prusakami. W kręgach polskich polityków uznano, iż nadchodzi właściwy czas, by na nowo podjąć próby działania. Porażki Rosji uznano za dowód jej słabości, co później srogo się na nas odbiło. Jednakże nie wszyscy tak myśleli. Dla przykładu w 1857 r. na mocy amnestii carskiej do kraju z zesłania wrócił Piotr Wysocki. Gdy zaproponowano mu duchowe, symboliczne przywództwo przyszłego powstania, odpowiedział zdecydowanie negatywnie – nie chciał mieć z tą *awanturą* nic wspólnego.

Wiem, do czego Pan zmierza w przypadku powstania warszawskiego. Ja również często słyszę i czytam, iż powstanie to musiało wybuchnąć, bo nastroje w Warszawie były tak podminowane, iż nie dało się powstrzymać młodych ludzi nie tylko z AK od walki. Nieprawda! Armia Krajowa nie była jakimś *kółkiem różańcowym*, lecz prawdziwą armią, organizacją zhierarchizowaną, z silnym dowództwem, które miało obowiązek zapanować na żołnierskimi dołami...

...i tę siłę wykazało 27 lipca 1944 r., gdy odwołano pierwszy rozkaz o mobilizacji struktur podziemnych.

No właśnie. Śmiesznym się wydaje późniejsze tłumaczenie, iż 1 sierpnia już nie można było niczego zatrzymać. Ale my Polacy potrafimy każdą rzecz wytłumaczyć na własną korzyść, a szczególnie porażki.

Naiwnością – i to naiwnością najgorszego rodzaju, była wiara, szczególnie po ustaleniach mocarstw z Teheranu, po doświadczeniach wileńskich (akcja „Burza”), że uda

nam się wyzwolić stolicę. Bez broni, bez pomocy aliantów, wbrew nadciągającej do Polski Armii Czerwonej i wystąpić w roli *gospodarza*.

A czy to nie jest czasami dowód na to, iż my – Polacy, wpadamy czasami w jakiś zbiorowy obłąd, tracimy trzeźwość osądu.

Trochę tak. Proszę jednak zwrócić uwagę na jeden ważny aspekt tej sprawy, który wynika z odmienności społeczeństwa polskiego, które żyło pod różnymi zaborami. Powstanie styczniowe – obejmujące swym zasięgiem Kongresówkę i Litwę, otrzymywało wielką pomoc także w Wielkopolski, czego dowodem może być historia gen. Edmunda Taczanowskiego. W skrajnie trudnych warunkach stworzonych przez administrację i policję pruską, udało się zgromadzić broń i inne środki do prowadzenia walki, zebrać także ludzi gotowych do działania.

Wielkopolanie jednak, w odróżnieniu od mieszkańców Królestwa, cechowali się trzeźwością myślenia i rozważą w działaniu. Będąc ludźmi przesiąkniętymi patriotyzmem, umieli jednocześnie działać w ramach istniejącego prawa, wykorzystywać je dla własnych, ale także narodowych celów.

Stąd łaska, jaka do nas przylgnęła. O Wielkopolanach mówi się m.in., iż nie buntują się, bo nie wolno. Są niepoprawnymi legalistami.

I co z tego? Ziemiaństwo wielkopolskie zaangażowało się w tworzenie nowoczesnej gospodarki, a przez to tworzenie podstaw późniejszej zamożności tych terenów. Nauczylismy się działać rozważnie, analizować sytuację wewnętrzną i międzynarodową, a kiedy nadarzyła się najbardziej odpowiednia chwila nasi przodkowie odnieśli wielkie sukcesy w powstaniu wielkopolskim. Tylko to jedno powstanie narodowe w naszych dziejach było prawdziwym zwycięstwem – politycznym i wojskowym. Moim zdaniem, nie jest sztuką bić się, bo jest ku temu okazja. Sztuką jest bić się wtedy, gdy są ku temu warunki, okoliczności. Nie jest bohaterem ten, kto macha szabelką, ale ten, kto osiąga wcześniej wyznaczone cele. Nasi przodkowie z Wielkopolski zatem nie byli skłonni do popadania w jakiś obłąd, do nierozsądnego czy bezsensownego działania.

Cóż działo się w tym czasie w Kongresówce? Przede wszystkim był to kraj jak z Gogola. Kraj czynowników, skorumpowanych urzędników, w którym można było załatwić wszystko przy pomocy łapówek. Panowało bezprawie, prywata, samowola. Do zwyczajów urzędników rosyjskich dostosowywała się nasza szlachta żyjąca ponad stan, zadłużająca coraz bardziej nieefektywne majątki. Trwoniąca dorobek kilku pokoleń przodków, żyjąca z dnia na dzień, niemająca pojęcia o nowoczesnym gospodarowaniu. Żywiąca się mitami o wielkości i szczególnej roli, jaka jej została dana przez Boga i Historię. W rzeczywistości podupadająca, degenerująca się, niepotrafiąca niczego zbudować. Pełno jest w naszej literaturze drugiej połowy XIX w. opisów wielkich katastrof finansowych, których powodem nie były powstania narodowe, ale po prostu ludzka głupota, gnuśność, prywata czy też nieumiejętność radzenia sobie w nowych warunkach. Paradoksalnie – o czym mówię często przy różnych okazjach –

dla wielu zesłanie w głąb Rosji były okazją do wzbogacenia się, wykorzystania koniunktury dla zbudowania fortun.

Jako przykład podejścia naszych rodaków z Kongresówki do trwającego jeszcze powstania styczniowego podam Panu pewną historię. Otóż konie, które były skupowane na terenach powiatów pleszewskiego, krotoszyńskiego, gostyńskiego i przeprowadzane przez granicę, miały trafić do oddziałów powstańczych, ale często sprzedawane były przez miejscowych ziemian Rosjanom za dobre pieniądze. Powstańcom odprowadzano natomiast zwykle stare szkapy. Czy tu można mówić o jakimkolwiek patriotyzmie?

Jako argument koronny przeważający szalę na stronę zwolenników wybuchu powstania styczniowego – jak czytamy często – jest branka. Przypomnę – Aleksander Wielkopolski, chcąc spacyfikować gorące już wtedy nastroje – ogłasza w połowie stycznia 1863 r. pobór rekruta do wojska carskiego. Na podstawie imiennych list, obejmujących ok. 12 tys. osób, mieli być wcieleni do wojska ludzie podejrzani o przynależność do organizacji patriotycznych. Apologeci powstańczego zrywu mówią, iż od tego momentu nie można było już powstrzymać zrewoltowanych mas.

Sprawa jest tu bardziej skomplikowana. Wielopolski w 1862 r. próbował dogadać się z „Białymi”, proponując Zamoyskiemu pewne koncesje. Chciał zrealizować część zgłaszanych przez nich postulatów. Wprowadził więc nową ustawę szkolną, przymusowe oczyszczanie chłopów i równe prawa dla ludności żydowskiej. Robił mniej więcej to, co działo się także w Rosji. Porozumienie Wielkopolskiego z ugodową częścią polskiej opozycji była oczywiście nie na rękę „Czerwonym”, którzy zdecydowanie parli ku rozwiązaniu siłowemu, ku powstaniu. Komitet Centralny Narodowy ani myślał dogadywać się z tymi, którzy chcieli nadal funkcjonować w ramach państwa carskiego, dlatego też prowadził akcję zbierania pieniędzy i zakup broni.

Jednocześnie mamy do czynienia z dwoma zamachami, prowokacjami (są na to dowody). W lipcu 1862 r. członek Organizacji Miejskiej Warszawy Ludwik Jaroszewski ranił wielkiego księcia Konstantego, a w sierpniu dwóch członków tejże organizacji narodowej przygotowującej powstanie dokonało zamachów na Aleksandra Wielkopolskiego. Te dwa wydarzenia stały się dla „Czerwonych” *papierkiem lakmusowym* pokazującym, jak zachowa się władza wobec zamachowców. Oczywiście Rosjanie nie mogli postąpić inaczej, jak tylko skazać zamachowców i wykonać wyroki, bo w innym przypadku – ich zdaniem – okazaliby wielką słabość. „Czerwoni” mogli zatem powiedzieć społeczeństwu: „Zobaczcie, to co robi Wielopolski, dogadując się z Zamoyskim, to zwykłe mydlenie oczu. Prawdziwym jego celem jest wyniszczenie Polaków”.

Branka tylko przyspieszyła decyzję o wybuchu powstania, ale w rzeczywistości parli do niego bojowo nastawieni członkowie Komitetu Centralnego Narodowego. Młodzi, którzy nie mieli ani doświadczenia wojskowego, ani też rozeznania co do rzeczywistych sił, ale mieli wielki entuzjazm, wolę walki. „Biali” byli rozsądniejsi i dlatego robili wszystko, by do powstania nie doszło. Branka stała się tylko detonatorem, przyczyny – jak mówię – są głębsze.

A może branka stała się detonatorem, bo wymierzona była przede wszystkim przeciwko szlachcie i mieszczaństwu z pominięciem ludności wiejskiej.

Rzeczywiście, czytając akta carskie z lat 60. i 70. XIX w., można dojść do wniosku, iż Rosjanie cały czas upatrywali głównego wroga w szlachcie polskiej, organicznie antyrosyjskiej. Nie sądzę jednak, by branka zrobiła największe szkody ziemiaństwu. Znając ówczesne stosunki społeczne, znając zwyczaje urzędnika carskiego mieszkającego na ziemiach Królestwa Polskiego, o czym mówiliśmy wcześniej, jego głębokie kieszenie i skłonność do łapówkarstwa, można domniemywać, iż dzieci szlacheckie, ziemiańskie z pewnością zostałyby wykupione. Branka i tak uderzyłaby w chłopów, bo ci nie mieli czego zaproponować czynownikowi.

Przed momentem mówił Pan, iż młodzi poza wielkim entuzjazmem, wolą walki nie mieli ani doświadczenia wojskowego, ani też rozeznania co do rzeczywistych sił, jakimi dysponowali Rosjanie. Jak to jest możliwe, by rzucać się do walki bez rozpoznania możliwości przeciwnika i marzyć jeszcze o odniesieniu zwycięstwa. Tym bardziej, iż zamówiona broń dla własnych oddziałów jeszcze nie nadeszła? Warto w tym miejscu powiedzieć, że na terenie Królestwa stacjonowało ok. 100 tys. żołnierzy, następne wojska wprowadzono już w trakcie walk. Czy organizatorzy powstania byli aż tak naiwni lub zaślepieni?

Po pierwsze, najważniejsze, nie mieli doświadczenia wojskowego. Oficerowie, dowódcy powstańczy wywodzili się przede wszystkim ze szkoły, którą założyli Mierosławski i Józef Wysocki w Genui, a potem w Cueno. Poza tym do powstania poszli ludzie nastawieni patriotycznie, ale dyletanci, którzy często po prostu nie sprawdzili się w warunkach wojny partyzanckiej (choćby Edmund Taczanowski).

Po drugie, przeciętny mieszkaniec takiej miejscowości jak Chocz (dla młodszych czytelników warto powiedzieć, iż na rzece Proсна było granica między zaborami) na co dzień stykał się kozakami, żandarmami lub policjantami, których było zaledwie kilku. Trzon armii rosyjskiej stacjonował w zamkniętych garnizonach, do których nikt nie miał wstępu, a co za tym idzie, wiedzy o ilości służącego w nich wojska, jego możliwościach bojowych.

Zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę na programie Aleksandra Wielopolskiego. 27 marca 1861 zostaje on mianowany dyrektorem głównym prezydującym w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W ciągu dwóch lat sprawowania swego urzędu stara się, działając legalistycznie, doprowadzić do poszerzenia praw i przywilejów Polaków w ramach państwa rosyjskiego. Inwestuje w edukację, reformuje i porządkuje administrację, wprowadza oczynszowanie chłopów i równouprawnienia Żydów. Jednocześnie zwalcza radykalne ruchy niepodległościowe. Dlaczego – mimo niewątpliwych zasług – ponosi klęskę?

Bo dla jednych – właśnie radykalnych ruchów niepodległościowych – jest nazbyt konserwatywny, ugodowy, dla drugich nazbyt nastawiony na zmiany. W wielu wspomnieniach i pamiętnikach przedstawicieli dziewiętnastowiecznego ziemiaństwa można

wyczytać charakterystykę własnego środowiska społecznego. Obraz nie jest niestety budujący. Mamy tu bowiem do czynienia z ludźmi pozornie wykształconymi (po szkołach w Marymoncie lub rocznym doktoracie zdobytym za granicą za pieniądze), o mentalności z poprzednich wieków, przywiązani do dawnych tradycyjnych wartości, przekonani o tym, iż tu na miejscu nie trzeba nic zmieniać, a tym bardziej iść z postępem. W Królestwie – gdzie wieś była jeszcze pańszczyźniana, a chłop całkowicie uzależniony od dworu – każda zmiana wydawała się rewolucją, której dwór ani nie chciał, ani nie rozumiał. Nie potrafiono dostrzec pozytywnych przemian, jakie dokonały się w wyniku uwłaszczenia w Wielkim Księstwie Poznańskim, pomimo początkowych trudności.

Z drugiej strony oczynszowanie chłopów czy równouprawnienie Żydów rozumiane były jako narzędzia dyscyplinowania ziemiaństwa przez władzę, która zawsze sobie poradzi, ale dwór już niekoniecznie. Bano się buntów chłopskich wynikających z konfliktów o ziemię. W kaliskim archiwum można znaleźć mnóstwo dokumentów z Kościelnej Wsi, Opatówka i innych miejscowości, w których czytamy, że chłopci odgrażali się swym właścicielom buntami i krwawą zemstą. W tej sytuacji jedynym pewnym punktem odniesienia stawała się silna władza – choćby i obca, a nie Wielopolski i jego reformy.

Powstanie styczniowe jednak wybuchło. 22 stycznia 1863 r. w Królestwie Polskim i 1 lutego tegoż roku na Litwie ruszyły do boju słabo uzbrojone oddziały powstańcze. W ciągu ponad 18 miesięcy stoczono ponad 1200 bitew i potyczek. Nie chciałbym z Panem relacjonować wszystkich bitew styczniowego zrywu. Spójrzmy na te wydarzenia przez pryzmat jego dowódców – trzech kolejnych dyktatorów.

Pierwszy z nich Ludwik Mierosławski – „Szarlatan polityczny i wojskowy, megaloman, awanturnik, tchórz, uznano go szkodnika narodowej sprawy i antybohatera powstania styczniowego”.

To był taki... Antoni Macierewicz powstania styczniowego. Wyłynął w czasie Wiosny Ludów, jego legenda stworzona została – oczywiście przez niego samego – po bitwie pod Miłosławiem w 1948 r. Był mistrzem mitotwórstwa, potrafił te mity tworzyć i je rozpowszechniać. Wystarczy poczytać jego pisma, w których pełno jest opinii o jego wielkości, nieomyślności i geniuszu.

Mierosławski, na przykład, dysponując sporymi finansami, nie zamierzał ich przeznaczyć na potrzeby wojska narodowego, na broń, amunicję i odpowiednią odzież, ale większość pieniędzy wydawał na prototypy wymyślonej przez siebie broni. Chodziło mianowicie o skonstruowanie wozów bojowych – obudowanych drewnem – z kołami, do których przymocowane były kosy ustawione na sztorc. Miały one sieć napotkanych żołnierzy nieprzyjaciela. Czysta fantastyka naukowa!

Jednocześnie Mierosławski był uwielbiany przez młodzież studiującą w jego włoskiej akademii, bo przez starszych i bardziej doświadczonych traktowany był jak fantasta. Ze względu jednak na jego pozycję w międzynarodowym ruchu rewolucyjnym (walczył na Sycylii, w Badenii i Palatynacie, w Legionie Międzynarodowym Giuseppe Garibaldi w

Neapolu) Komitet Centralny Narodowy powierzył mu dowodzenie powstaniem styczniowym. Jako żołnierz okazał się zupełnie niezdolny do wykonywania powierzonych mu zadań. Stoczył tylko dwie bitewki pod Krzywosądzem i Nową Wsią na Kujawach, ale obydwie zakończyły się porażkami. W czasie tej drugiej nawet nie wyjechał na pole bitwy, bo jadł obiad, a potem musiał już tylko uciekać. Szybko porzucił myśl o dalszej walce, porzucił też kraj i wyjechał do Paryża. Stamtąd rozpowszechniał informacje o fatalnym zorganizowaniu powstania, obrzucał błotem wszystkich dookoła, uważając, iż tylko on wykazał się odwagą i męstwem, a wszyscy dookoła byli tchórzami, zdrajcami.

Chciałbym zwrócić uwagę na jedną ważną rzecz. Jeśli przyjrzymy się naszej historii, to takich postaci jak Mierosławski znajdziemy więcej. I w czasie powstań dziewiętnastowiecznych, i w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. (choćby gen. Dąb Biernacki), i później. Wszystkie te postaci łączy nieudolność, nieumiejętność podejmowania decyzji, przy jednoczesnym przekonaniu o swej wielkiej wartości.

A ja dodam do tego gen. Rómmła, który we wrześniu 1939 r. po odniesieniu lekkiej kontuzji porzucił miejsce stacjonowania swej jednostki, a potem w Warszawie jako najstarszy rangą oficer podawał się za dowódcę obrony miasta, choć w rzeczywistości obowiązki te wypełniał gen. Czuma.

I komunistycznego generała Świerczewskiego, który nie był w stanie wypełniać jakichkolwiek obowiązków dowódczych ze względu na bardzo poważne uzależnienie alkoholowe. Nie przeszkodziło mu to jednak tworzyć wokół siebie szczególnej aury bohaterstwa.

...Przejdźmy do drugiego dyktatora powstania Mariana Langiewicza, pełniącego swą funkcję tylko przez tydzień [od 11 marca do 18 marca 1863]. I znów opinie – „Syn powstańca listopadowego, uwielbiany przez kobiety, dyktatorem nie chciał zostać, ma opinię nieudacznika”. Proszę o komentarz.

Rzeczywiście Langiewicz dyktatorem był krótko, ale ten tydzień powstańczy miał dość udany. Pochodził z Krotoszyna, uczył się w Trzemesznie, studiował we Wrocławiu i Berlinie. Służył w armii pruskiej, ale kariery wojskowej w niej nie zrobił. W czasie poprzedzającym powstaniem zajmował się pozyskiwaniem pieniędzy i zakupem broni w Paryżu. Wrócił do kraju na początku stycznia 1863 r. i objął dowództwo oddziału działającego na ziemi sandomierskiej. Odniósł sukcesy w bitwach pod Słupią i Małogoszczą.

Dyktatorem powstania został ma skutek zamachu stanu, sam tego nie chciał. Dlaczego mówię o zamachu stanu? Otóż Langiewicz wprowadzony został w błąd przez „Białych” (przede wszystkim przez hr. Adama Grabowskiego), którzy zapewniali go, iż będzie reprezentantem wszystkich sił uczestniczących w powstaniu styczniowym.

Przyjęcie przez niego funkcji dyktatora spotkało się z aprobatą społeczeństwa polskiego, z entuzjazmem pisały o nim gazety, z entuzjazmem mówili o nim zwykli ludzie. Prof. Wiesław Caban pisze, że „Langiewicz dawał Polakom nadzieję. Ludzie wierzyli, że

przyniesie on Polsce zwycięstwo. Był wiarygodny i żołnierza traktował na serio. On miał autorytet! Był osobowością. W całym powstańczym chaosie był osobą na właściwym miejscu. Wiedział o co w tej sprawie chodzi od strony militarnej i – co bardzo ważne – od strony politycznej. To dawało mu niezwykłą popularność”. Niestety Langiewicz nie mógł zbyt wiele osiągnąć pod względem militarnym. Nie był nieudacznikiem. Po bitwie pod Grochowiskami (18 marca 1863 r.) mógł tylko rozproszyć swój oddział i próbować się przedostać do Galicji.

No właśnie. Mówimy przedostać się do Galicji. Wielu uważa, że Langiewicz po prostu uciekł do Galicji, gdzie został zatrzymany i uwięziony. Najbardziej złośliwi podkreślają, iż była to wielka rejturada.

Nie byłbym tak kategoryczny w sądach. Uważam, że Langiewicz ma swe zasługi, co każe uznać tę postać za pozytywną. Przez jakiś czas udało mu się skupić niemałe siły na Świętym Krzyżu. Potrafił wiązać oddziały rosyjskie, co otwierało możliwość tworzenia pomniejszych grup i partyjek powstańczych, a przez to rozszerzania powstania. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że oddział Langiewicza (w końcu liczący ok. 3 tys. ludzi) miał mniejsze szanse na przetrwanie niż partyjka 50 czy 100 osobowa. W pierwszej kolejności Rosjanie starali się rozbijać większe zgrupowania, używając do tego znacznych sił i środków. Langiewicz nie mógł przeciwstawić Rosjanom zbyt wiele, gdyż jego wojsko to byli prawdziwi amatorzy, ludzie nieostrzelani, nieprzywykli do prowadzenia ciężkich i długotrwałych kampanii. To nie było wojsko zaprawione w boju, lecz entuzjaści, patriotycznie nastawieni młodzi powstańcy. Warto w tym miejscu powiedzieć o stosunku ludności miejscowej do oddziałów partyzanckich czy większych zgrupowań. Z jednej strony były one witane entuzjastycznie w dworach i miasteczkach, z drugiej – bezwzględnie dobijane i rabowane w razie klęski. Po bitwie pod Staszowem miejscowi dorzynali konających i brali wszystko, co nadawało się do zabrania, a co miało jakąkolwiek wartość. Gdy Rosjanie wysłali do Wólki Kłuckiej żandarmów, by znaleźli i ukarali winnych grabieży, w chałupach znajdowano obcięte palce z pierścieniami, sygnetami i obrączkami, uszy z kolczykami itp. Władze powstańcze zasądziły karę śmierci dla 50 włościan z Wólki. Wyrok wykonano tylko częściowo.

Bitwa pod Grochowiskami była – niestety dla Langiewicza – ostatnim starciem z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Moim zdaniem, drugi dyktator zrobił wszystko, co tylko mógł, a jeśli ktoś twierdzi inaczej, niech przedstawi argumenty. Ja ich po prostu nie znam.

Dziś nie rozstrzygniemy także, czy Langiewicz uciekł, czy został pochwycony w trakcie próby przekroczenia granicy. Faktem pozostaje, że Austriacy aresztowali go, przetrzymywali najpierw w Krakowie, a potem przez dwa lata w twierdzy Josephstadt we wschodnich Czechach.

A co z kobietami w życiu Mariana Langiewicza?

Jeśli idzie o kobiety, to rzeczywiście szalały na jego punkcie. Gdy został dyktatorem, nie nadążano z produkowaniem jego podobizn. Rozegzaltowane warszawianki pisały do niego pełne podziwu i miłości listy. Jego adiutantem... była kobieta – Henryka Pustowójtówna – córka polskiej szlachcianki i rosyjskiego oficera. Czy łączyło ich coś więcej niż tylko zależność służbowa, trudno orzec. W literaturze pięknej przeczytamy o gorącym romansie Langiewicza i młodej panny.

Bardzo to piękne, ale my musimy zająć się trzecim z dyktatorów. Romuald Traugutt nie wywołuje jednak takich kontrowersji jak poprzednicy. Nim jednak to zrobimy, chciałbym zapytać Pana o to, jak to jest możliwe, iż przez ponad pół roku powstanie trwa, choć nikt nie dowodzi. Traugutt dopiero w październiku 1863 r. przejmuje ster insurekcji i próbuje pchnąć ją na nowe tory.

Powstanie nadal trwa, ponieważ sprawnie funkcjonuje najpierw rząd czerwonych prawników (od 23 maja do 10 czerwca 1863 r.), gorących miłośników terroru, podkładania bomb itp. To właśnie w tym czasie dokonano w Warszawie zamachu na generała-gubernatora hrabiego Berga, w zamian za co żołnierze rosyjscy podpalili Pałac Zamoyskich, w których mieszkała siostra Fryderyka Chopina – Izabela Barcińska, i wyrzucili z okna jej mieszkania słynny fortepian mistrza. Historia ta stała się inspiracją do napisania przez C. K. Norwida wiersza pt. „Fortepian Chopina”.

Najdłużej trwał rząd Karola Majewskiego (od 14 czerwca do 17 września 1863 r.), którego zasługą było rozbudowanie struktury państwa podziemnego zarówno w Warszawie jak i na prowincji. Powstanie mogło trwać właśnie dlatego, iż istniały i całkiem sprawnie działały organa konspiracyjnego państwa. Na miejscu byli naczelnicy cywilni, naczelnicy wojenni, na miejscu była policja tajna, żandarmeria, ukazywała się prasa podziemna, byli organizatorzy od szczebla wsi do szczebla powiatowego. Gdy wszystkie te elementy funkcjonowały sprawnie, to na danym terenie mogły się rozwijać działania wojskowe. Jako ciekawostkę podam fakt, iż niejednokrotnie częściej zwracano się do kowala czy sklepikarza, który pełnił funkcję urzędników państwa podziemnego, niż do rosyjskiego żandarma czy policmajstra. Gdy dla przykładu ginął koń, to oni w pierwszej kolejności potrafili w krótkim czasie odnaleźć zgubę, bo byli odpowiedzialni za porządek na swym terenie.

Powstanie trwało nadal także, gdyż udawało się zebrać niemałe środki finansowe na zakup broni i innych środków potrzebnych do walki. Podstawą finansowania powstania styczniowego był podatek ofiary narodowej, który ściągany był przez Rząd Narodowy od obywateli posiadaczy i osób rozporządzających stałym dochodem.

W październiku 1863 r. przywódcą powstania zostaje Traugutt. Jakie są jego główne zamierzenia?

Romuald Traugutt wcale nie rwał się do powstania. Ani nie był przedpowstaniowym konspiratorem, ani też wiadomości o styczniowym zrywie nie przyjął z entuzjazmem. Jako dawny oficer armii carskiej wiedział doskonale, z jakim przeciwnikiem przyjdzie walczyć. W odróżnieniu od innych nie lekcewał Rosjan. Mimo to zdecydował się przyłączyć do

powstania i objąć dowództwo oddziału operującego na Polesiu, w powiecie kobryńskim. Po kilku sukcesach w lokalnych potyczkach przyszła porażka. Jego oddział został rozbity, a przyszedł przywódca powstania przedostał się do Królestwa.

Po przejęciu władzy Traugutt chce przede wszystkim nadać od strony wojskowej temu powstaniu charakter bardziej zorganizowany. W związku z tym powołuje dywizje. Dyktator chce, aby każde województwo wystawiło dywizję składającą się z trzech pułków piechoty i jednego jazdy (w założeniu 6500 ludzi). Połączone dywizje miały tworzyć korpus. Planowano utworzenie pięciu korpusów. Były to jednak oddziały, które istniały tylko na papierze, gdyż w rzeczywistości w terenie działały już tylko niewielkie oddziały rozproszone po lasach. Jedynym większym oddziałem był korpus generała Józefa Hauke-Bosaka działający na terenach Sandomierskiego, Krakowskiego i Kaliskiego. Ale i on wreszcie musiał uznać przewagę przeciwnika (klęska pod Opatowem 21 lutego 1864 r.).

Romuald Traugutt zdawał sobie doskonale sprawę ze swojej sytuacji, ale trwał nadal na swym stanowisku. Wiedział, że powstanie pozbawione pomocy ze strony mocarstw skazane jest na klęskę, dostrzegał także, jak zmieniało się nastawienie społeczeństwa polskiego do pojawiających się partii powstańczych. Na skutek polityki zaborcy całe wsie i miasta musiały płacić potężne kary finansowe. Majątki należące do Polaków obłożone zostały wielkimi kontrybucjami. Nie dziwi zatem, że już od zimy 1864 r. do Wielmożnego Cara szły wiernopoddańcze adresy, pisane przez szlachtę, chłopów, kolonistów, mieszczan czy Żydów. Wszyscy starali się ratować, co się tylko dało. Gdy przeglądamy zbiory archiwalne, widzimy, w jak perfidny, ale skuteczny sposób działali urzędnicy carscy. Pozwolę się ponownie posłużyć przykładem mieszkańców Chocza, którzy poprosili, aby zaliczyć na poczet kontrybucji opłaty z propinacji, tzn. produkcji i sprzedaży piwa, gorzałki i miodu. Władza łaskawie godziła się na to, obywatele byli zadowoleni, ale powstańcy na żadną pomoc już liczyć nie mogli. W ten sposób odcięto ich od naturalnego zaplecza – dworów. W sytuacji gdy majątki ziemskie już przed powstaniem były mocno zadłużone, a powstanie jeszcze bardziej nadważyło ich egzystencję, trudno było liczyć na życzliwość właścicieli, którzy drżeli, by nie spadły na nich nowe kontrybucje. Albo – co gorsza – konfiskata dóbr.

Ciosem w powstanie styczniowe była również dekret carski o uwłaszczeniu i przyznaniu chłopom na własność użytkowanej przez nich ziemi z 21 marca 1864 r., gdyż odciągał od działań wojskowych tych chłopów, którzy jeszcze do niedawna wstępowali w szeregi partii powstańczych. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, iż powstańcy także ogłosili akt uwłaszczeniowy, ale nie miał on żadnego znaczenia, bo nie mógł być z oczywistych powodów zrealizowany. Nie pomogło także to, że przez dwa lata przed powstaniem trwała praca propagandowa zmierzająca do uświadomienia społeczeństwu Królestwa Polskiego konieczności wprowadzenia uwłaszczenia, skoro w praktyce nie udało się tego wcielić w czyn. Chłop wdzięczny był temu, kto miał realną władzę i dał mu nareszcie ziemię. Tym kimś oczywiście był car rosyjski, a nie polscy panowie.

Traugutt wie doskonale, że powstanie musi się wypalić, że duch w powstańcach zgaśnie. Czy nie mamy zatem kolejnego polskiego czekania na jakiś cud, który wszystko odmieni? Czekania na pomoc z Zachodu?

Tak. Cały czas liczone na pieniądze i broń z Zachodu! Zachowały się materiały wywiadowcze, które cały czas wysyłano do Paryża, w których podawano ilość wojska stacjonującego w garnizonach, by przygotować sojuszników do udzielenia pomocy Polakom. Trzeba powiedzieć, iż przez cały okres powstania trwa akcja propagandowa we Francji czy w Anglii. Tam naprawdę było olbrzymie poparcie ze strony społeczeństwa. Ale – jak zawsze – społeczeństwo jedno, a władza to drugie. Żaden z europejskich rządów nie myślał pomagać buntującym się Polakom i stawać przeciwko potężnemu mocarstwu. Nikt nie chciał bowiem burzyć porządku stworzonego przez Kongres Wiedeński. Na marginesie można powiedzieć, iż my Polacy, zawsze wierzymy w pomoc jakiegoś – często bardzo odległego – dobrego brata, który przybędzie, by nas wybawić z trudnej sytuacji. A to jest tylko mrzonka.

Patrząc na to, co działo się niedawno we Włoszech, łudzono się zapewne, iż także do nas Europa wyciągnie swą pomocną dłoń.

Gdzie Włochy, a gdzie Polska? Można było się solidaryzować werbalnie, ale – powtórzę to raz jeszcze, nikt we Francji czy w Anglii nie miał interesu wchodzić w konflikt z potężną Rosją! Zbiórka pieniędzy dla Polaków – tak, wysyłanie broni – tak, wysyłanie oficerów – tak, zwanie z carską Rosją – nigdy!

We Francji powstańcy zyskali sympatię środowisk katolickich, liberalno-masońskich, socjalistycznych. Zbierano składki na rzecz powstania, sprawa polska stała się jednym z tematów agitacji przedwyborczej w zmaganiach rządu francuskiego z opozycją. Na ulicach pojawili się demonstranci w hasłami antyrosyjskimi. W marcu 1863 r. wyruszył z Londynu wynajęty parowiec, wiozący na pokładzie 185 ochotników, 2 działa, tysiące karabinów. To była poważna demonstracja poparcia. Niestety, statek nie dotarł do celu podróży, gdyż został zatrzymany i internowany w porcie Malmö.

Koniec dyktatury Traugutta jest tragiczny.

Tak, tragiczny. Ten porządny człowiek, który w beznadziejnej już sytuacji próbował ratować dogasające powstanie, musi ukrywać się. Aresztowany zostanie w nocy z 10 na 11 kwietnia 1864 r. na skutek zdrady. Przewieziony do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, poddany zostanie przesłuchaniom, ale nikogo nie zdradzi. Sąd wojskowy zdegradował go i skazał na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano publicznie na terenie Cytadeli 5 sierpnia 1864 r. Bardzo szybko tworzy się legenda Traugutta jako niemal świętego bojownika o sprawę narodową. I właściwie do dzisiaj ona trwa.

Z pewnością Romuald Traugutt to najbardziej szlachetna, niezłomna, „czysta” postać spośród dyktatorów powstania styczniowego, zasługująca na miano bohatera narodowego, bo dokonująca w swym życiu nadludzkich wręcz wysiłków dla ratowania styczniowej insurekcji. Teraz słów kilka o skutkach powstania styczniowego. Kilkadziesiąt tysięcy poległych w walkach, blisko tysiąc osób straconych, 30-40 tys. skazanych na zesłanie. Do tego około 10 tys. emigrantów politycznych. Represje, o których mówiliśmy już wcześniej, dotyczące dwory, miasta, kasata zakonów wspierających powstanie. Królestwo Polskie traci szczątki

autonomii, ogranicza się Polakom ponownie dostęp do szkół, rozpoczyna się intensywny proces rusyfikacji. Królestwo traktowane jest jako nieuprzywilejowana prowincja Rosji. Bilans tragiczny. Proszę mi odpowiedzieć na pytanie: Czy lepiej było dać się wyrznąć, wypędzić, zesać na Syberię, czy wybrać drogę Wielopolskiego?

No właśnie. Tutaj dochodzimy do najważniejszej kwestii. Oceny politycznej tego wydarzenia. A jest ona – w moim najgłębszym przekonaniu – negatywna. Pamięta Pan stary dowcip polityczny o powstaniu w Pradze w 1945 r. i filmie, który o nim opowiada. Różnica jest taka, że ten drugi trwa godzinę dłużej. Wyśmiewani często przez nas Czesi zawsze charakteryzowali się realizmem politycznym, wybierając te lepsze, skuteczniejsze rozwiązania. Starali się ratować swoją stolicę, siebie samych wtedy, gdy Polacy rzucali się do beznadziejnej, bezsensownej walki. Chciałbym być dobrze zrozumianym. Nie odbieram nikomu, żadnemu uczestnikowi kolejnych powstań narodowych jego zasług, bo często są one ogromne. Doceniam męstwo, bohaterstwo, niezłomność, potęgę ducha zarówno powstańców listopadowych, styczniowych czy warszawskich. Działali oni z różnych pobudek – najczęściej patriotycznych, ale także przymuszeni przez sytuację, okoliczności czy po prostu ludzi (chłop z 1863 r. – na przykład – szedł walczyć, bo nie miał innego wyjścia). Mówię natomiast krytycznie o politykach i ich decyzjach pchających tych ludzi do nierównej, straceńczej walki. O tych, dla których wartość ludzkiego życia miała wartość niewielką. Krytykuję oderwanych od rzeczywistości decydentów, bo ich rozkazy doprowadziły do kolejnych klęsk. Jednocześnie daję jako wzór twórców międzywojennej polskiej gospodarki – Kwiatkowskiego i Grabskiego oraz naszych przodków z Wielkopolski, umiejących pracować solidnie, przygotowujących również solidnie jedyne udane powstanie narodowe.

Spółeczeństwo polskie po 1864 r. dokonało solidnego rozliczenia z powstaniem i jego przywódcami. Kulturowano bohaterstwo uczestników, przy jednoczesnej krytycznej ocenie jego przebiegu i skutków. Nie tylko warszawscy pozytywiści oraz krakowscy „Stańczycy” nie pozostawili na powstaniu suchej nitki. Przez ponad 50 lat było ono przykładem, jak nie należy działać w polityce. Wydawało się także, iż nasi przodkowie odrobili solidnie tę lekcję, czego dowodem były działania Piłsudskiego, Paderewskiego, Dmowskiego czy Witosa. Wszyscy oni, a każdy w inny sposób, doprowadzili w latach 1918-20 do odzyskania i utrwalenia niepodległości przez Polskę. A jednak. II wojna światowa pokazała znów, iż nasi politycy oderwali się od rzeczywistości, najpierw doprowadzając do klęski wrześniowej, a potem rzucając naród w obłąd powstania warszawskiego.

Porusza Pan w tym miejscu dwie sprawy. Po pierwsze mówi Pan o dyskusji, jaka trwała po powstaniu, a która doprowadziła wreszcie kraj do wydzwignięcia z zapaści cywilizacyjnej, a potem do wybicia się na niepodległość. Rzeczywiście po powstaniu społeczeństwo potrafiło odrobić lekcję, sformułowało nowe programy i idee. Proszę jednak zauważyć, iż nigdy nie porzuciło tej tradycji, której ucieleśnieniem był zryw styczniowy, czego najlepszym dowodem jest Piłsudski i jego Legiony. Wszystkich – wymienionych przez Pana polityków – cechował realizm. Oni naprawdę rozumieli tę ważną ideę – walka zbrojna – owszem tak, ale tylko wtedy, gdy będą ku niej odpowiednie warunki. Przy czym walka

może się rozpocząć po przeanalizowaniu sił wszystkich przyszłych antagonistów, po przeanalizowaniu całej skomplikowanej sytuacji politycznej w Europie. Sama końcówka I wojny światowej dawała właśnie taką szansę na odzyskanie niepodległości. I wcale nie trzeba było rzucać wtedy na ofiarny stos tysiące ludzi. Dzięki mądrym politykom sprawa polska stała się w dyskusjach międzynarodowych, a polski żołnierz nie stał się tylko mięsem armatnim w obcych armiach.

Druga sprawa dotyczy już wypełnienia testamentu twórców niepodległości. A także znalezienia właściwej drogi w trudnej sytuacji lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku.

Tomasz Łubieński – znawca historii powstania styczniowego, książkę dotyczącą powstania w Warszawie z 1944 zatytułował „Ani tryumf, ani zgon”. Chciałbym Pana zapytać, czy ten pierwszy zryw był tryumfem czy zgonem?

Powstanie styczniowe moim zdaniem, był to jednak w pewnym sensie tryumf dlatego, że społeczeństwo polskie potrafiło wyciągnąć z niego wnioski. Zmienił się sposób patrzenia na nasze sprawy. Daliśmy sobie spokój z walką zbrojną, a wzięliśmy się do ciężkiej pracy. Stworzyliśmy wtedy podstawy nowoczesnego państwa. Budowaliśmy od nowa system polityczny, partyjny, gospodarczy, system powiązań między zaborami. Pozwoliło to później, już po 1918 r., myśleć o scaleniu zupełnie różnych organizmów wchodzących w skład państw zaborczych. To był sukces jakby wbrew intencjom twórców i organizatorów powstania. Co prawda nie osiągnęliśmy natychmiastowego sukcesu, ale stworzyliśmy podstawy do przyszłego zwycięstwa. Powołania do życia II Rzeczypospolitej.

Pozwoli Pan, że sformułuję ważną – dla mnie – tezę. Otóż w ostatnich moich rozmowach oraz tekście „Nigdy więcej Westerplatte”, który zamieściłem na stronie Pleszewskiego Towarzystwa Kulturalnego, mówię – oczywiście z wyrzutem, iż polska szkoła lat międzywojnia niestety nie uczyła budowania, lecz „pięknego życia i pięknego umierania”. Miał przygotowywać do tworzenia kolejnych okręgów przemysłowych, szykowała młodzież do następnej wojny.

Ma Pan dużo racji. Myślę jednak, iż na tę sprawę trzeba spojrzeć szerzej. Przeciętny Polak z okresu międzywojennego nie zastanawiał się szczególnie nad sensem powstań narodowych. Cieszył się przede wszystkim z odzyskania niepodległości, która była niestety zagrożona. Właśnie zakończyliśmy krwawą wojnę z Rosją Sowiecką, nie załatwiwszy wszystkich spraw na Wschodzie. Stosunki z Niemcami przez cały okres dwudziestolecia mieliśmy złe, z Litwinami jeszcze gorsze. O stosunkach z Czechami nawet nie warto wspominać. Żyliśmy w stanie ciągłego zagrożenia. Bardzo trudno było scalić różne regiony naszego kraju, które – jak wiemy, znajdowały się na zupełnie różnym poziomie rozwoju. Idealnym spoiwem był zatem patriotyzm. Rozumiany jako gotowość do obrony niepodległości i suwerenności ojczyzny.

Chciałbym Panu przypomnieć także, iż porządek europejski stworzony w Wersalu po I wojnie światowej był – zdaniem wielu polityków, tylko chwilowym rozwiązaniem.

Przypominał przerwę w starciu bokserskim. Wiadomo było, iż prędzej czy później musi dojść do kolejnej konfrontacji, która będzie jeszcze bardziej krwawa niż poprzednia. Prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson, wracając z konferencji wersalskiej, stwierdził, iż właśnie podpisany (a przez jego kraj nigdy nieratyfikowany) traktat pokojowy jest zapowiedzią nowej wojny. Pokój wersalski bowiem niczego nie załatwiał, a wręcz przeciwnie – tworzył nowe punkty zapalne. Nie dziwi więc kierunek ówczesnego wychowania, zmierzającego do budowania w Polakach poczucia wartości, poczucia tożsamości narodowej i to w społeczeństwie wielonarodowym i wielokulturowym. Moim zdaniem, było to potrzebne i zakończyło się sukcesem, co widzimy w czasie II wojny światowej.

Pewnie, że chciałoby się widzieć u Polaków więcej realizmu, a mniej romantycznego gestu. Ale tak zostaliśmy wychowani na literaturze wieszczów, a potem na powieściach Henryka Sienkiewicza. Uważam zresztą, że właśnie sienkiewiczowska Trylogia narobiła najwięcej szkody w naszym myśleniu narodowym, bo proponowała model Polaka a la Kmicic, a la Zagłoba. Trudno tu szukać takiej postaci, która kojarzyłaby się z solidnością, rzetelnością, uczciwością, prawością...

... jedyną pewnie był Wołodyjowski, ale i on na koniec popadł w szaleństwo i wysadził się na szanćcach Kamieńca.

No właśnie. Łatwo jest przyjąć taką piękną mitologię szczególnie wtedy, gdy się ma podarte portki i dziurawe buty jak to dwudziestolecie między wojennym często bywało.

Zgadzamy się zatem, iż Polacy uwielbiają karmić się mitami, szkodliwymi urojeniami, wiarą w naszą szczególną pozycję wśród narodów świata (Polska przedmurzem chrześcijaństwa i Chrystusem narodów), wiarą w konieczność wypełnienia niezwyklego zadania. Niestety, nie chcemy przyjąć do wiadomości faktu, iż nikt w Europie tego poglądu nie podziela. Nie jesteśmy krajem specjalnie atrakcyjnym dla regionu. Jesteśmy często postrzegani jako państwo zacofane, bigoteryjnie religijne, mało atrakcyjne kulturowo... częściowo jest to wina stereotypu, ale ten stereotyp znikąd się nie wziął.

Proszę zobaczyć. Po roku 1989, po przemianach ustrojowych i gospodarczych, z jakimi mieliśmy wtedy do czynienia, wielu Polaków dorobiło się niemałych pieniędzy. Do czego wtedy się zwracano? Znowu do mitologii szlacheckiej, romantyczno-sienkiewiczowskiej. Oczywiście była to najprostsze nawiązanie poprzez poszukiwanie szlacheckich korzeni, tytułów, tradycji. Za pieniądze zatem kupowało się herby (prawdziwe czy fałszywe – to nie było ważne), by dodać sobie ważności, by zbudować pozycję w społeczeństwie. To było typowo polskie strojenie się w nieswoje piórka.

Chętnie odwołujemy się jako społeczeństwo do bohaterów Sienkiewicza, a nie mówimy o Kwiatkowskim, Grabskim, a z wcześniejszych – Prusie, Orzeszkowej, pozytywistach warszawskich, organicznikach wielkopolskich. O księżach Rymarkiewiczu, Wawrzyniaku, Niesiołowskim, Szamarzewskim, tworzących tu na miejscu banki,

towarzystwa przemysłowe, spółki i spółdzielnie, o cichych bohaterach, którzy jeśli zaszła potrzeba, potrafili także złapać za broń. Ale ich działalność jest nudna dla spragnionego atrakcji czytelnika czy widza. Współczesny odbiorca chce szybkiej akcji a la Hoffman, a nie nudnej opowieści o ludziach zakładających firmy, cierpliwie, skrzętnie pracujących, pomnażających swe majątki dla dobra własnego i pomyślności ogółu. Z tego na pewno filmu się nie nakręci. Powstania, szczególnie te zakończone klęską, są dla współczesnych polityków, twórców zdecydowanie atrakcyjniejsze.

Wybitny polski historyk i archiwista, badacz historii Polski XIX w. profesor Stefan Kieniewicz powiedział kiedyś, iż gdyby nie powstania, byłibyśmy inni. Jacy?

Profesor Kieniewicz powiedział to przewrotnie. Myślę, iż byłibyśmy inni, tzn. lepsi. Pewnie nasza historia byłaby podobna do historii krajów zachodnich z domieszką naszej lokalnej specyfiki. Mieliśmy szansę podążać drogą wyznaczoną przez Wielkopolan (znów ci Wielkopolanie!), bez tych ogromnych strat w ludziach i majątku narodowym. Byłoby nam również łatwiej ułożyć sobie stosunki w naszymi wielkimi sąsiadami.

Powstania narodowe – mimo iż są dla nas wydarzeniami odległymi – stanowią nadal temat do wielkiej narodowej dyskusji. Czy zgodzi się Pan ze mną, że dopiero „Solidarność” potrafiła wyciągnąć prawdziwe wnioski z historii, dzięki czemu Polska bez rozlewu krwi przeszła od komunizmu do wolności?

Zgadzam się, ale chciałbym podkreślić, że było wielu takich, którzy myśleli o zupełnie innych scenariuszach. Dziś nie mamy dostępu do znacznej części dokumentów (i pewnie nigdy nie będziemy mogli do nich zajrzeć) mówiących o roli ludzi władzy i „Solidarności”, dążących do rozwiązań siłowych. Na szczęście pojawili się ludzie rozsądni, o dużym autorytecie, trzeźwo myślący. I oni przeważyli.

Cytowany już wcześniej Tomasz Łubieński pyta, a ja to pytanie powtarzam: „Bić się czy nie bić?”

Bić się wtedy, gdy trzeba i gdy ta walka ma sens. W innym przypadku należałoby wylać sobie na głowę kubel zimnej wody dla otrzeźwienia. I tyle! Więcej nie trzeba mówić.

Ze względu na to, że obydwa jesteśmy związani ze szkolnictwem, chciałbym na koniec zapytać Pana, jak uczyć młodzież historii?

Uczciwie. To znaczy, unikając czarno-białych szablonów, schematów, stereotypów, uproszczeń. Bez schlebiana jakimkolwiek grupom nacisku. Mówiąc młodzieży o bohaterach i antybohaterach, patriotach i zdrajcach, o antysemitach i ludziach poświęcających swoje życie dla ratowania Żydów. Jeśli nie będziemy tego robić, młodzież bardzo szybko wyczuje fałsz i odwróci się zupełnie od historii. Z pewnością będziemy mieli z tym problem, bo sami wyrosliśmy i wykształciliśmy się w poprzednim systemie, który nie sprzyjał mówieniu prawdy. Musimy więc mówić młodym o naszej przeszłości otwarcie, prezentując całą złożoność zjawisk. Bez wybiórczości. Bez selekcji spraw i postaci, które pasują nam do z góry założonego obrazu.

Historia – powtarzam to raz jeszcze – nie może być traktowana instrumentalnie, czego dowodem jest odrodzenie się w Polsce skrajnych ruchów narodowych. Każda manipulacja faktami prędzej czy później odwraca się przeciwko manipulatorom. I niech to będzie nauczka dla nas wszystkich i puenta tej rozmowy.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał: Janusz M. Lewandowski

Październik – listopad 2014